



PROTOKÓŁ Z PIĄTEGO W ROKU 2022 POPANDEMICZNEGO SPOTKANIA PLENEROWEGO FOTOKOLEKTYWU PUNKT ALARMOWY SYRENA

Spotkanie zostało zainicjowane przez wybitnego mistrza fotografii tanecznej, kolegę Andrzeja Hajdasza (zwanego dla ułatwienia w dalszej części sprawozdania Mistrzem), do którego znajomości – a nawet co tu dużo mówić przynależności do tego samego Fotokolektywu Punkt Alarmowy Syrena – możemy się śmiało i z nieskrywaną dumą przyznać, i nieco pogrzać w blasku jego sławy przy okazji. Andrzej Hajdasz jako wybitny prekursor fotografii tanecznej, w ramach Warsztatów Tańca Współczesnego FairPlayce Poznań zorganizował – a nawet można powiedzieć, że stał się ojcem chrzestnym wydarzenia – taneczny performans inspirowany twórczością i życiem Zofii Stryjeńskiej, pod tytułem „Obrazobranie. Nasze lata dwudzieste”. Tak więc było to nie lada wydarzenie które zapewne znajdzie swoje poczesne miejsce w annałach, a może również w kronikach życia kulturalnego miasta Poznania. Nie wiemy tego na pewno, ale liczymy, że jeżeli tak się stanie, to może pojawi się tam również wzmianka o korzeniach, czyli o Fotokolektywie Punkt Alarmowy Syrena, a tym samym pozwoli nam to na odrobinę luksusu zaistnienia w tych trudnych dla artystów czasach. Należy w tym miejscu jeszcze nadmienić o dwóch kwestiach istotnych z punktu widzenia Fotokolektywu a mianowicie, że było to pierwsze w historii naszych plenerów tak szybko zorganizowane spotkanie po poprzednim, oraz również historycznie, pierwsze na którym nie zostało wykonane ani jedno zdjęcie (nie licząc zdjęć Mistrza), co może być początkiem nowej prekursorskiej drogi ku doskonałości, i należy to wnikliwie zbadać oraz wyciągnąć daleko idące wnioski na przyszłość.

Informacje organizacyjne.

Spotkanie odbyło się w sobotę dnia 20 sierpnia 2022 roku w Centrum Sportu i Rozrywki FairPlayce w Poznaniu, przy ulicy Bożydara 10, o godzinie 19.00.

Pogoda ciężka, pochmurna i deszczowa, ale niestety gorąco.

W spotkaniu udział wzięli, ci co zawsze, plus jedna*, czyli: Basia, Ela, Kasia, Hanka*, Martin, Andrzej, oraz kronikarz i skryba uniżony.

Przysłowie na dziś brzmi: *jeśli na Bernarda ziemia twarda, to będzie zima harda, a jak miękka to lekka...* trzy razy sprawdzałem, czy to aby tak na pewno, ale chyba tak. Ktoś musiał się naprawdę nudzić, ale być może przyda nam się ten cytat w dalszej części sprawozdania. Lub nie.

Co do performansu należy dla ścisłości i prawdy historycznej wymienić osoby odpowiedzialne za całość. I tak:

Pomysł, inicjatywa, fotografie, sprzątanie po imprezie i rozmowy kuluarowe z zaproszonymi gośćmi – Andrzej Hajdasz.

Kurator wystawy fotograficznej – Janusz Oleksa.

Muzyka lekka, łatwa i przyjemna, efekty specjalne, instrumenty dęte i kręczone korbą – Malwina Paszek.

Performans taneczny i okrzyki *psia kref* – Paulina Wycichowska.

Efekty specjalne wizualne, sprzątanie po imprezie, rozmowy kuluarowe z tymi samymi gośćmi zaproszonymi, oraz innymi – Barbara Grunwald-Hajdasz.

Dodatkowo udział wzięły: sztalugi, pędzle, chałat, melonik, walizki z historią, parasol, dwie zasłonki do pryszniczicy z IKEI, projektor i folia przezroczysta.

Słów kilka w tym miejscu należy powiedzieć o Zofii Stryjeńskiej. Że była kobietą, cóż zdarza się. Że była malarką, też się zdarza, choć zdecydowanie rzadziej, by nie powiedzieć sporadycznie. Że była utalentowana, była, że miała w życiu pod górkę, miała, że piła, paliła i miała swoje zdanie, oczywiście, że facetów poznawała od złej strony, i to nie jednego, też prawda. Ale za to jak malowała... Piękne szczupłe wieśniaczki o strzelistych i krągłych piersiach, powłóczystym spojrzeniu i kosach po same pośladki. Czasem kruczo czarnych, częściej pszenicznej barwy. W pełnym makijażu i soczystych barwnych i wyprasowanych strojach. Z powłóczystym spojrzeniem kuszącym i kpiącym. Portrety kobiet Stryjeńskiej emanują czystą erotyką. Napierające, wolne i swobodne w akcentacji swojej kobiecości. Ale i mężczyźni piękni. Szczupli i przystojni. Z pełnym uzębieniem w kształtnych ustach, ze wzrokiem bystrym, śmiałym, zdobywczym, kipiący testosteronem, nie rzadko z ciupagą, a co najważniejsze czyści, umyć i wyprasowani, pachnący dobrą wodą kolońską, czasem ubrani, czasem półnaczy, jak bogowie olimpijscy wsi mazowieckiej, łowickiej i podkarpackiej. A w tle góry, strzeliste i turnie postrzępione wiatrem halnym, lub pola po horyzont. Czyste obejścia, chałupy z bali kryte gontem. I górale! Cóż za ciała, cóż za symetria, cóż za gracia w każdym ruchu. Czyste piękno dzikiego Podhala. Chciałoby się krzyczeć za Danutą Rin, gdzie te chłopy, gdzie ten świat złotych łąnów, pięknych wieśniaczek i szarmanckich wieśniaków, wsi spokojna, wsi szczęśliwa... Gdzie te karczmarki o krągłych kształtach, napierające na konsumentów którym serwują orzeźwiające, bynajmniej nie destylowane napoje. Trzeźwych konsumentów. Cóż, lud u nas prosty, ale charakterny i nałogów pozbawiony, wystarczy pojechać na sylwestra marzeń do Zakopanego. Ale Stryjeńska to nie tylko tańce polskie i życie codzienne wsi, ale też słowiańskie bóstwa, malowane talerze, opakowania czekolady, jednym słowem art deco w czystej formie...

No, a dalej to było tak.

- Przybyliśmy, zgodnie z instynktem i własnym doświadczeniem w tego typu

PROTOKÓŁ Z PIĄTEGO W ROKU 2022 POPANDEMICZNEGO SPOTKANIA PLENEROWEGO FOTOKOLEKTYWU PUNKT ALARMOWY SYRENA

impresach, jak zwykle nieco wcześniej, by nie powiedzieć dużo wcześniej, aby zając tym samym lepsze miejsca, ale, cóż, nie byliśmy niestety aż tak szybcy, tak zdeternowani, i nazbyt oryginalni, gdyż jak się okazało wszyscy pozostali zaproszeni goście również przybyli wcześniej, korbując tym samym skutecznie parking, co nas trochę zdeprymowało, zwłaszcza, że organizatorzy nie przewidywali w zaproszeniach ani szwedzkiego stołu, ani tym bardziej napojów chłodzących, więc nie wiadomo po co ci wszyscy ludzie tak się spieszyli. Trudno, pomyśleliśmy sobie i po dłuższym manewrowaniu w deszczu udało nam się zaparkować na jedynym dostępnym rżysku, co prawda w kałuży, ale przynajmniej na równym. Było pochmurno i gorąco, i przez moment przemknęła nam myśl, aby pozostać w tej kałuży, ale otrząsnęliśmy się i pod parasolem udaliśmy się do drzwi wejściowych.

- W tym miejscu aż prosi się mała dygresja, i żeby dalej opowieść potoczyła się tak... *gdy już dotarliśmy do drzwi wejściowych, okazało się, że nasz ubiór, schludny, nienachalny, maskujący, nie przystaje do kreacji zaproszonych gości, i zostaliśmy grzecznie, ale stanowczo skierowani przez broniących drzwi lokajów w złotych liberiach do wejścia kuchennego. Żeby nie chodzić na pusto zabraliśmy przy okazji ze stojącej nieopodal furgonetki skrzynki z pomidorami i piwem, aby po drodze zanieść je do kuchni. Kuchni nie znaleźliśmy, co wzbudziło naszą podejrzliwość, a po krótkiej chwili pewność, że to były jednak skrzynki przeznaczone do innej kuchni, więc zostawiliśmy je w piwnicy, na wszelki wypadek przykrywając walającymi się pod nogami szmatami, a następnie przez kotłownię oraz dwie pakamery, na szczotki i na brudne pranie, gdzie oczyściliśmy się z pajęczyn i przetarliśmy lakierki z kurzu, udać się na salony, gdzie oczekiwała nas oficjalna część wernisażu...* Ale nie takiego nie nastąpiło i bez zbędnego opóźnienia i niedyskretnych pytań dotarliśmy do przestrzeni performatywnej, gdzie zastaliśmy Mistrza we własnej osobie, który władczym gestem wskazał nam miejsce, gdzie w ciszy i spokoju mieliśmy oczekiwać na rozpoczęcie. Na ścianie napisane było czerwoną farbą *badminton*, co nas nieco przeraziło, bo nie byliśmy przygotowani na jakikolwiek wysiłek fizyczny. Za napisem, a właściwie za ścianą z napisem, nieznana nam bliżej grupa osób, podrygując rytmicznie, kręciła biodrami, uwypuklając poprzez taneczny ruch pewne istotne i specyficzne dla płci fragmenty ciała.

- Stanęliśmy więc grzecznie i skromnie, rozkoszując się widokiem tego i owego, a co poniektórzy też lampką wina. Wokół kręciło się sporo osób i wydawało nam się, że zauważyliśmy Tego, a nawet i Tamtego, ale bez Tej, co nas nieco zdeprymowało, bo serwisy plotkarskie mówiły wyraźnie, co i jak. Z pewną nieskrywaną zazdrością, dyskretnie aby nie uchybić, omawialiśmy kreacje pań i wiele mówią-

ce kreacje panów, i wtedy nadeszła Ela, a zaraz po niej Martin, i co nas uderzyło natychmiast, oboje bez aparatów fotograficznych. To był cios, podkopujący nasze przekonanie, że oboje ci wybitni fotografowie nie rozstają się na co dzień z aparatami. Cóż, padł jak widać kolejny mit.

- Po pół godzinie stania w drżącym oczekiwaniu rozpoczęła się część oficjalna. Pani Ewa Wycichowska mówiła o warsztatach, Janusz Oleksa o Andrzeju i jego twórczości, Andrzej o całości przedsięwzięcia, Malwina Paszek o muzyce i dlaczego taka a nie inna, a Paulina Wycichowska o performansie. No i sponsorzy kto, co i za ile. Po części oficjalnej i należnych twórcom brawach, rozpoczął się właściwy spektakl, w którym artystka z długim warkoczem zabrała widzów w podróż przez życie i twórczość Zofii Stryjeńskiej, najpierw krokiem konika szachowego po dobrej wódce, a następnie w dół po schodach w piwniczną czeluść szaleństwa i wrażliwości bohaterki.

- Schodzimy więc na dół i trwa to długo, bo schodzi wraz z nami sporo widzów. Jest gorąco i duszno, pot leje się strumieniami i ciżba okrutna się robi, i natłok niezwykajny, dźwięków, świateł bodźców wszelakich. Stryjeńska wydaje się być wszędzie, spływać z sufitu, pulsować obrazami ze ścian, chrzęścić pod nogami. Zdaje nam się, że oto wirują kolorowe spódnice, sznurzą się sznury koralu, mienią pasy łowickie, iskry krzesają góralskie kierpce, a rumiane twarze dziewcząt i chłopców z gminu pulsują zwierzęcym erotyzmem i dzikością podkarpackich wsi, karczm i jarmarków. Czujemy wyraźnie zapachy dobrej góralskiej wody kolońskiej, drogich kwiatowych perfum z Hali Gąsienicowej, i dobrobytu podkarpackiej wsi lat dwudziestych, obfitujących w ludowe piękno i czystość... Ale nie wiemy, czy to przypadkiem nie z upału i sali fitness, gdzie wyraźnie widać pięknych młodych mężczyzn i piękne młode kobiety o wyrzeźbionych ciałach, w pocie czoła realizujących ustalony przez trenerów program. A my nie wiemy, po jaką cholere. Widzimy za to Mistrza, który zawzięcie kręci materiał filmowy, i kręcić będzie do końca.

- Za wiele nie widzimy bo jesteśmy na samym końcu ludzkiej ciżby, ale wystarczająco dużo, aby zorientować się, że artystka w sposób przejmujący odgrywa scenę podróży kolejowej Zofii Stryjeńskiej. Odgrywa ją pod schodami i pod czerwonym napisem *squash, joga, fitness*, co może symbolizować przemianę fizyczną bohaterki, ale niekoniecznie. Jest więc walizka, zapewne TA walizka, z historią i po przejściach. Jedna z trzech bardzo cennych walizek, ale nie wiemy, która jest która, więc nie zastanawiamy się nad tym dłużej, gdyż przedstawienie musi trwać dalej, i przenosi się w inne obszary, a nam się robi wokół nieco luźniej. Zauważamy, że oto pojawia się czarny chałat, a może szynel – i biorąc pod uwagę

PROTOKÓŁ Z PIĄTEGO W ROKU 2022 POPANDEMICZNEGO SPOTKANIA PLENEROWEGO FOTOKOLEKTYWU PUNKT ALARMOWY SYRENA

temperaturę dziękujemy bogu, że nie my musimy go nosić – który ma podobno jakąś moc magiczną i stanowi pomost pomiędzy teraźniejszością a przeszłością, czy też odwrotnie, nie wiemy dokładnie, ale melonik jest inny, bardziej dopasowany i nie spada na oczy, choć też musi w nim być gorąco. Słysząc wyraźnie głos lokomotywy, wyhukiwany na sporych rozmiarów instrumencie, którego nazwy nie znamy, przez autorkę muzyki panią Paszek.

- Dramat się rozgrywa na naszych oczach, światło i dźwięk, a tymczasem z kamerami wychodzi pani konserwator powierzchni płaskich z mopem. Zastanawiamy się czy może mieć to związek ze Stryjeńską, i zamierzamy o to zapytać, ale pani niknie w drzwiach z napisem *fitness*, pozostawiając nas w niewiedzy i pewnym niedomówieniu.



Nikt nie zrobił zdjęcia :(
wycinam foty z filmu
Andrzeja, trochę pikselozą,
ale pani z mopem się zatapiała
i Martin i skryba :))) B.

- Nadal tkwimy tam, gdzie tkwiliśmy a tymczasem dramat życia bohaterki rozgrywa się w dalszych częściach pomieszczenia, których nie widzimy, bo jesteśmy za mali i też przy okazji nie za dobrze słyszymy, bo jesteśmy głusi, więc nieco nam umyka idea przewodnia, ale tylko na chwilę, gdyż muzyka wchodzi na wyżyny góralskiego wesela, a może redyku na Hali Goryczkowej, wtedy jeszcze tam wypasano, słysząc wyraźnie, że mamy do czynienia z wielką sztuką, bo sztuka podhalańska wielką sztuką jest i basta, o czym zapewne dowiedzą się niedługo z podręcznika do HiT-u wszystkie większe i mniejsze polskie dzieci. A być może też ich rodzice, czego im nie życzymy, bo nie jesteśmy mściwi.

- Na dwóch zasłonach prysznicowych z IKEI, po 8,50 każda, odbywa się spektakl cieni i światła, szaleństwa i tańca, po wielokroć zapętłony, niemy i slapstikowy, bo to w końcu lata dwudzieste. Intryguje nas jedynie myśl, dlaczego IKEA nie

została wymieniona na liście sponsorów, ale nie dociekamy za bardzo, żeby nie być posądzonym o małostkowość.

- Tymczasem z ust artystki padają ostre słowa, takie jak *psia kref*, zwielokrotnione przez muzykę, wykrzyczane, wyszczekane, wycharczane, które w ustach performanki pachną skandalem. Są mocne i ostateczne, i dobitnie określają świat, w którym żyła Stryjeńska, jej stosunek do tegoż świata, do mężczyzn, do robotników, do chłopów, do inteligencji, do sanacji, do kolegów po piędzu, do koleżanek po dwóch piędzłach, do Krakowskiej bohemy, i są to słowa prawie tak mocne jak twarda: *motyla noga*.

- I oto kolejny zwrot akcji, którego się nie spodziewaliśmy. Artystka udaje się na zewnątrz, wychodząc przez drzwi oblepione zasłonami prysznicowymi z IKEI po 8,50 zł za sztukę. A jednak sztuka, sztukę przyciąga. Przez chwilę wpada zimne powietrze z zewnątrz i robi się przyjemnie. Na chwilę jedynie, ale warto było czekać. Życie Stryjeńskiej, teraz oddane we władanie kapryśnej aury, biegnie nieprzewidywalnie do przewidywalnego końca. Artystka tańczy tylko dla mnie, chciało by się sparafrazować znany przebój, ale niestety z tej odległości, oddzieleni murem rosnących widzów, nic nie widzimy, jedynie koniuszek parasola, bo na dworze leje i trochę chyba ciężko się musi tańczyć w strugach ulewnego deszczu. Współczujemy, ale oszczędnie.



PROTOKÓŁ Z PIĄTEGO W ROKU 2022 POPANDEMICZNEGO SPOTKANIA PLENEROWEGO FOTOKOLEKTYWU PUNKT ALARMOWY SYRENA

- Zauważamy, że Martin wchodzi do sali oznaczonej napisem *fitness* przez oszkłone drzwi. Nie wiemy, po co. A chcielibyśmy wiedzieć, czy to aby nie fragment spektaklu.

- Ponownie zauważamy, że po krótkiej chwili Martin wychodzi z sali oznaczonej napisem *fitness*. Niczego nie wyjaśnia i też nie ma to większego znaczenia dla trwającego spektaklu, ale jednak to niedomówienie pozostawia pewien niedosyt i rozprasza.

- Artystka wraca i wraca również dalsza część historii artystycznej Zofii Stryjeńskiej, szaleństwo i kolejna podróż w nieznane. Czuć nadszycą zmianę. Basia spuszcza z piętra przezroczystą folię, która w sposób mistyczny wręcz otula, spadając naładowaną emocjami przestrzeń. Coś wisi w powietrzu, czujemy to, ale niestety folia zbyt szybko opada, i nie widzimy ciągłości, co nas artystycznie dekoncentruje.

- Teraz życie i twórczość Zofii Stryjeńskiej wraca pod schody, tam skąd wyszło, pod napis *squash, joga, fitness*, wraca do walizki, kończą się lata dwudzieste, zaczynają inne, na razie niewiadome, i kolejny raz trzeba się spakować i stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością i zawiścią środowiska artystycznego... Ukłony, brawa, ktoś coś mówi o bisach...

A dalej było już z górki:

- Oglądamy wystawę fotografii Mistrza i zżera nas zazdrość, ale tylko troszeczkę, i właściwie jedynie dla zasady, bo już przy poprzedniej wystawie odchorowaliśmy własną porażkę... Mistrz wyraźnie poszedł w swoich pracach dalej, tłumiąc nieco kolorystykę, uwypuklając pastele, co tworzy lekko oniryczną aurę bajkowości. Jesteśmy pod wrażeniem.

- Próbujemy dostać się do Mistrza, ale nie podobna sprostać temu zadaniu. Tłum wielbicieli obojga płci, w tym także nieletnich, otacza artystów, więc dajemy sobie spokój.

- Pchać się nie będziemy.

- Mamy swój honor.

- Trochę jednak nam szkoda, bo w końcu Mistrza poznać po tym, jak kończy, nie jak zaczyna, a my nie możemy sprawdzić, jak Mistrz kończy, bo się dopchać nie możemy.

- Idziemy na górę się napić.

- Tym samym możemy rozpocząć kolejne, piąte już popandemiczne spotkanie Fotokolektywu Punkt Alarmowy Syrena, w składzie: Ela, Hanka, Martin i autor.

Na razie bez Mistrza i żony Mistrza. Anektujemy na nasze potrzeby stolik.

- Czekamy na Mistrza i żonę Mistrza. Na razie bezskutecznie. Tkwią na dole i to nas trochę denerwuje, bo ile można tkwić. I ile można czekać?

- Zamawiamy piwo bezalkoholowe i witaminową bombę, która okazuje się ledwie granatem zaczepnym w wersji kieszonkowej.

- Martin zamawia pełno daniowy posiłek taneczny. Nie wiemy, co to jest i czekamy w napięciu.

- Martin dostaje zupełną pomidorową i drugie danie. Nie zazdrościmy tylko zamawiamy następne piwo.

- Wokół toczy się życie. Na sali oznaczonej czerwonym napisem *badminton* wciąż podrygują i nie wiadomo dlaczego nie mają rakietek do tego uroczego sportu, więc nie wiadomo również w sumie, po co tak podrygują, ale głupio jest pytać.

- Na scenę wkracza Kasia. W zwiewnej letniej sukience, płynie przez lokal jak barwny motyl. Godzinę po czasie, czyli prawie w punkt, właściwie można powiedzieć, że to organizatorzy zaczęli godzinę za wcześnie. Witamy się, organizujemy krzesło, ale niestety na próżno. Kasia idzie na dół złożyć hołd Mistrzowi i przywitać żonę Mistrza. Też byśmy poszli, ale zajęto by nam stolik, więc rezygnujemy.

- Rozmawiamy beztrąsko o tym i o owym, omijając zgrabnie rafy związane z fotografią, naszą w niej rolę, i czy my też kiedyś dostąpimy zaszczytu. Może i dobrze, bo Mistrz jest wszak tylko jeden.

- Z dołu wraca Kasia. Idzie po piwo i w odróżnieniu od nas, otrzymuje je w dziesięć sekund. Cóż znaczy barwność motyla.

- Wreszcie pojawia się sam Mistrz wraz z żoną Mistrza. Basia i Andrzej dołączają i można wreszcie uznać plener za odbyty w zgodzie z tradycją. Rozmawiamy o fotografii, co nas zaskakuje, ale cóż, kiedyś trzeba podjąć ten trudny i kłopotliwy temat.

- Uzgadniamy termin kolejnego pleneru – tym razem wyraźnie zaznaczając, że posiadanie sprzętu fotograficznego jest wymogiem *sine qua non* uczestnictwa – na koniec września. Wstępnie.

- Basia i Hanka otrzymują zadanie wyprowadzić nas fotograficznie z równowagi, co nie jest takie trudne. Obcy teren, nieznane zadania, życie na krawędzi...

- Kończymy spotkanie, bo techno idzie nam na uszy.

- Wnioski końcowe są, ale brak tradycyjnego ostatniego zdjęcia Martina. Nie ma

PROTOKÓŁ Z PIĄTEGO W ROKU 2022 POPANDEMICZNEGO SPOTKANIA PLENEROWEGO FOTOKOLEKTYWU PUNKT ALARMOWY SYRENA

wyjścia, do kroniki Martin musi sam sobie zrobić ostatnie zdjęcie Martina i przesłać do Andrzeja.



... uff jest na filmie, wycinam fotos:))) B.

- Wychodzimy na zewnątrz wszyscy razem. Tak nam się zdaje, bo dwie osoby, w osobach samego Mistrza i żony Mistrza, w drodze do drzwi wyjściowych gdzieś się zawieruszyły. Szukamy, ale bezskutecznie. Chyba jakaś czarcia zapadka.

- Trudno. Pada deszcz i żegnając się ostatecznie, opuszczamy gościnne podwoje FairPlayce.

Kilka dodatkowych informacji, żeby tradycji stało się zadość, na koniec:

Imieniny (co ciekawsze): Filiberta, Leowigilda, Sieciecha, Stosława, Świeluba (no czyż nie uroczo?)

Na świecie tyle się działo, że szkoda gadać. W Polsce też.

Święta nietypowe: Dzień Synowej, Dzień Wyznawania Miłości, Dzień Komara.

No i przysłowie na dziś jednak nie zaistniało w tekście, chyba, że jednak komuś z czymś się skojarzy, więc przypominam: *jeśli na Bernarda ziemia twarda, to będzie zima harda, a jak miękka to lekka...* ■■■

Tekst Mariusz Holeczek, fotosy z filmu Andrzeja Hajdasza

